

ALEKSANDER
ŚWIĘTOCHOWSKI

NA POGRZEBIE

Aleksander Świętochowski

Na pogrzebie

«Public Domain»

Świętochowski A.

Na pogrzebie / A. Świętochowski — «Public Domain»,

Pęknięta oś w bryczce zmusza dwóch studentów do szukania pomocy w pobliskiej wiosce. Przypadkowo uczestniczą w smutnej uroczystości - pogrzebie mlecznej krowy. Rok później studenci ponownie trafiają do tej samej wioski, i ponownie uczestniczą w pogrzebie — tym razem bażanta. Dwie rodzajowe scenki służą Świętochowskiemu to uwidocznienia różnic klasowych pomiędzy ziemiańską szlachtą a włościąństwem. Jak na postępowego pisarza przystało, w tym porównaniu szlachta wypada o wiele gorzej. Aleksander Świętochowski był wpływowym przedstawicielem inteligencji warszawskiej końca XIX wieku. Jego esej "Praca u podstaw" był jednym z fundamentów, na którym kształtował się pozytywistyczny system wartości.

Содержание

I	5
Конец ознакомительного фрагмента.	7

Aleksander Świętochowski

Na pogrzebie

I

– Tu panie chojary były w tym lesie ha! – prawił dalej Marcinek. Ale naprzód ciął pan, teraz zydą z Kałusyna tną a tną, az jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem, obaj uchwyciliśmy się przeciwnego jej boku, konie stanęły, Marcinek umilkł, zeskoczył w kałużę i po chwili szepnął smutnie:

– Oś pękła.

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak rzewnemi zapłakało łzami, że aż konie parsknęły, a my wtuliśmy uszy w podniesione kołnierze paltotów. Tylko Marcinek, nieczuły na spływające mu po nosie krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy złotówki, które za nową będą musieli zapłacić... „poćciwi panowie”.

– Ha, „nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi” – mówi poeta, rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął sykać w tej wrześnie kąpieli; dziękujmy więc losowi, że nam dał przynajmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej nie dojedziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryczce, my zaś dopełnijmy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujmy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które nam aż po oczy bryznęło, i wybierając najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną. Humor studencki zdolny jest nawet niebo wypogodzić. To też spojrzawszy na nas brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

– Brr! potoniemy jak wojsko faraonowe w tem morzu – zawołał wreszcie mój kolega – i nie dostaniemy się do wsi.

– Odwagi Józiu – odrzekłem rozśmieszony – przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

– Na koniach!

– Masz słuszność, szkoda, żeśmy nie odpręgli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniejsza... jesteśmy już prawie u celu.

– Czy ty myślisz – rzekł Józef – że nam bryczkę zaraz naprawią i zdążymy na szóstą do stacyi? Już po czwartej, a chłop, zanim coś poradzi, potrzebuje na podrapanie się w głowę z pół godziny.

– To zanocujemy.

– Klepkę chyba z głowy zgubiłeś – zawołał mój towarzysz, spojrzawszy na mnie zdziwiony.

– Opatrz swoją braciszku i powiedz mi, co w tem byłoby tak strasznego? Jeżeli dziś nie przyjedziemy do Warszawy a jutro opuścimy cztery godziny mądrości, wydrukowanej w podręcznikach przed trzydziestu laty...

– Ależ nocować w dziurawej stodole lub zatechłej chałupie razem z prosiętami!...

– Czemu nie? Spróbujemy tych wygod spania przez sześć godzin, których tylu ludzi kosztuje przez całe życie.

– Lubię demokrację – mruknął Józef – o ile ją mój nos znosi.

– I jabym ją nosem oceniał, gdybym miał ogon, którym mógłbym na arystokratyczną woń pokreć.

Przygryzek był ostry, rozgrzeszała go jednak dawna nasza przyjaźń. Mimo to kolega mój, wykołyszany w dostatku pieszczoch losu, szedł chmurny i rozdrażniony myślą noclegu w nędznej wioszczyńce, którą obecny właściciel, gdyby mu subhastacya nie była przeszkodziła, miał przechrzcić na *Sans souci*, a którą jego dziad przezwał poprostu Przytykiem.

Do mizernego dworku, na którego starym i prostym zrębie powyskakiwały jakieś nowe, cudaczne wieżyczki, prowadziła kiedyś gęsta, a dziś poszczerbiona aleja, załamująca się i przedłużająca gościńcem, przy którym stanęły w długim szeregu chaty włościańskie. Jakkolwiek przeczuwałem, że dziedzic *Sans souçi* niema w swem gospodarstwie ani jednej całej osi i ani jednej gościnnej koldry, dla rozczarowania wszakże mego arystokratycznego kolegi spytałem przechodzącego parobka:

– Pan w domu?

– Ale, gdzieby! – odrzekł, ruszywszy ramionami, jak gdybym go zagadnął, czy wiatr, który mu wczoraj czapkę zrzucił, wieje jeszcze na polu.

– Wyjechał?

– Jeździ – pono teraz ogląda gdzieś bazianty.

– Macie bażantarnię?

– Bogać tam!

– A bryczkę?

– Juści była, ale jak raz zawadził, tak posła!!

– Przenocować we dworze nie można?

– Pokojów jest dosyć, ale żeby tak posłania, nie widziołem. Siedzi tam już dwa dni Aron i ceka na pana, to musi sobie łokieć pod łeb podłożyć i tak się przespać.

– Dobrze mu tak – pomyślałem – bo to on pewnie, zahipotekowawszy swoją należność na Przytyku, nie chciał, ażeby tę wioskę przezwano *Sans souçi*.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

– Czy tu myślisz dostać bryczki? – zapytał ironicznie Józef.

– Zajdźmy – jakiś płacz słyhać.

– Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kułakami.

Wązkie opłotki chrustowe łączyły z gościńcem zapadniętą i nadwyręzoną chatę, do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek. Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod zlepionych brudem włosów. Ściekające z dachu krople deszczu spadały jak łzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyzna miał na sobie tylko koszulę, przez której długi rozpór na piersiach ukazywała się pręga latem spalonego na słońcu, a teraz zmoczonego na deszczu ciała.

– Co to wam? – spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nic nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej sieni, w której czuć było wyziewy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby, uchylilem je lekko. Cisza.

– Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrzawszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka czerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym kożuchem okrytą kobietę. Gdym się wpatrywał w jej trupią twarz, nagle coś poderwało się pod moimi nogami. Odkoczyłem strwożony – było to leżące i do łóżka przywiązane ciele. Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczułem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy w tem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot. Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dna podstarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałżeby to być grób dla umarłej kobiety?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.